Rok II. Kraków, dnia 16go Września 1870. Ner 18.



wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca.

Prenumerata: wynosi rocznie 4 złr. lub 2 tal. 15 sgr. — Półrocznie 2 złr. lub 1 tal. 8 sgr. — Kwartalnie 1 złr. lub 20 sgr.
Listy i prenumeratę przesyłać należy pod adresem: Do redakcyi „**Włościanina**“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.
Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy za miejsce drobnego wiersza, z dopłatą 30 cent. za stempel, za każdorazowe umieszczenie.

ALEKSANDER ORŁOWSKI,

WIEŚNIAK i MALARZ.

(Dokończenie).

— A cóż robi tu ten chłopak teraz?

A ojciec Orłowski pokornie rzecze:

— Ot! rano i popołudniu idzie do szkoły, a gdy wróci, to bąki zbija i wszędzie mi białe ściany węglami smaruje. — Ja karam i biję, ale to na nic.

Na to odpowiedział chłopak śmiało:

— Ja proszę taty! nie smaruję, ale maluję to, co mi w oczy wpadnie.

Zaczęli się panowie i ojciec śmiać z tego, ale jeden pan powiada:

— No! chłopcze, zaprowadź mię i pokaż mi twoje smarowanie, czy jak mówisz, malowanie.

I poszli wszyscy, zobaczyli, głowami kiwali, coś sobie pogadali, a potém tak powiedzieli:

— Masz tu chłopcze ołówek i papiér, namaluj nam tu nasze konie, wozy i nas z wszystkimi sługami, a jak trafisz nieźle, to dostaniesz dukata i pojedziesz z nami nazad do Warszawy.

Chłopak zabrał ołówek i papiér, poszedł do sieni, położył to na stoliku, kazał sługom powsiadać na wozy i tak namalował konie, wozy i ludzi i pokazał to panom. Zobaczyli to, uradowali się, zawołali ojca i matkę i rzekli:

— Wy niedobrze robicie, że bijecie chłopaka za to, co mu widać sam Bóg podarował — dajcie mu spokój z nauką, kiedy mu ta do głowy nie idzie, a dajcie go uczyć malarstwa, kiedy ma do tego ochotę i skład wrodzony. Może być z niego malarz dobry i będzie żył między ludźmi. Rodzice powinni dobrze uważać, do czego dobrego ma dziecko największą ochotę i dopomagać mu w tém, bo to widać palec boży i taki dar z nieba dla szczęścia dziecka. Do niczego złego dziecku nie pomagaj; zaś do wszystkiego dobrego daj mu pomoc! Taki jest przykaz Boga dla nas. Kiedy chłopak ma wielką ochotę do malowania obrazów, daj go uczyć malarstwa!

— To dobrze! rzecze ojciec — byłoby za co dać go do takiéj szkoły, ale chłopak młody jeszcze i bez dozoru może się popsuć, o co w wielkiém mieście nie trudno.

Na to odezwał się Oleś:

— Powiedzieliście, panowie, że jak potrafię namalować konie, wozy i ludzi, to dostanę dukata i pojadę z wami. Namalowałem, jak mogłem, a wy zróbcie swoje!

— Dobrze chłopcze! — rzekli panowie — kiedyś taki śmiały i stoisz o swoje i o nasze słowo, toż zabiéraj się zaraz z nami do Warszawy i pójdziesz na nasz koszt do malarza, który jest najlepszy na całą Warszawę i zowie się Norblin.

To powiedziawszy prosili ojca, aby oddał syna na ich opiekę i zabrali go do Warszawy i dali go uczyć malarstwa.

Chłopiec jechał ochotny, bo to powiadają, że każdy przymuszony, nie jest ochotny ni zadowolniony, a kto co robi bez zwyku, ten robi tylko z krzyku, a kto ma do czego ochotę, ten robi jak po maśle robotę. Uczył się chłopak, siedział po całych dniach nad obrazami, ani pomyślał o zabawach miasta, bo strasznie lubił farby rozrabiać, a potém niemi malować, co widział na mieście albo co mu jego nauczyciel pokazał. Tak doszedł do 17 lat i robił wielką uciechę panom Czartoryskim i ojcu. Ale roku pańskiego 1794 rozpoczął p. Kościuszko wojnę z Moskalami, aby ich wygnać z Krakowa, potém z Warszawy i z całéj Polski. Jak tylko gruchnęła o téj

wojnie nowina od Krakowa, i że idą na tę wojnę parobcy i gospodarze, toż i Oleś Orłowski poszedł do panów swoich i powiada:

— Ja także pójdę na tę wojnę, bo ja poprawdzie z rodu kmiecego i wychowany w mieście i zacząłem się uczyć malarstwa i ojciec mój stracił już dużo na mnie i panowie dopomagacie mi także wiele ale piérwsza służba u Boga, a druga dla kraju i narodu, a dopiéro potém robota dla siebie samego. Dla tego pójdę bronić wiary św. przed wiarą moskiewską i kraju polskiego przed Moskalami.

Na to odrzekli panowie:

— Dobrze Olesiu! ale napisz do ojca, aby cię pobłogosławił na drogę, a on ci pewnie nie zabroni.

Oleś siadł i napisał, a za dwa dni przyjechał do niego ojciec i rzecze mu:

— Dobrze synu! Piérwsza zawsze myśl i robota należy się Bogu, druga myśl i robota należy się krajowi, w którym z woli Boga siedziémy, żyjemy i umiéramy, a co się zowie Ojczyzną naszą, a dopiéro na ostatku mamy myśleć o naszéj chacie i zagrodzie i o nas samych. Kto myśli tylko o sobie i zapomina o Bogu i całym narodzie, ten jest grzésznikiem takim, co siebie tylko lubi, o sobie pamięta i zowie się dla tego samolubem. A kto znowu zmienia wiarę św. ojców, nie stoi o chwałę Boga w kościołach i woli złoto nad Boga, ten także jest grzésznikiem wielkim i zowie się bezbożnym, bo nie dba o Boską chwałę nie pełni, co mu św. wiara przykazuje. Idź, mój synu, bronić naprzód wiary św. i kościoła katolickiego, idź bronić kraju polskiego, a jak cię Bóg przyprowadzi do domu, wtedy odpoczniesz od ludzi uszanowany a od Boga błogosławiony!

Oleś zapłakany poszedł na wojaczkę ochotny, bił Moskala po skórze, aż leciały paździerze i wstrasznéj bitce pod wsią Maciejowicami został tak raniony, że go ledwo żywego zawieziono do szpitalu. Ale śpiewał sobie, choć go rana bolała: Dana moja dana, Ojczyzna kochana! dostała się rana, Bogu za to chwała!

Jak mu się ta rana zagoiła, wrócił znowu do dawnego malarza Norblina w Warszawie; malował to, co widział na wojnie, a brał za takie obrazy dużo pieniędzy, bo każdy kupował, aby miał pamiątkę w domu swoim. Z tego malowania wystarczało mu na życie i na poratunek drugiego, a honor i poszanowanie odbiérał co krok, gdzie się jeno pokazał. Żył sobie tak w Warszawie bez grosza ojcowskiego, bo mu malarstwo przynosiło dostatki i miał taką sławę w Warszawie i w całéj Polsce, że jego obrazy wisiały w pałacach, dworach i po chatach kmiecych na ścianach, a prawie każdy choć go nieznał z widzenia, to znał po obrazach, że był malarz Aleksander Orłowski, dobry Polak i katolik, co się wysłużył Bogu, krajowi, a zawsze wysługuje się Polakom robotą różnych obrazów ślicznych. Był późniéj w Warszawie brat césarza moskiewskiego, co zwał się Konstanty i ten rządził Polakami. A był to straszny Moskal. Nosek miał malutki, jakby mu Bóg kulkę między oczami przylepił; oczy miał dzikie, włosy najéżone, a taki porywczy jak siarka i w zapalczywości gotów był zabić człowieka. Strasznie trapił on Polaków, rozbijał ludzi po mieście, kiedy przejeżdżał, ale wojaków polskich lubił tak, że przepadał za nimi. Otóż ten césarski brat Konstanty dowiedział się o malarzu Aleksandrze Orłowskim, a gdy mu się spodobały jego obrazy, wziął go do swego pałacu, zapłacił mu dobrze, dał mu wszystko w dostatku wielkim na życie i powiedział mu: Maluj mi obrazy, a za to masz życie pańskie do śmierci, jak zechcesz, w moim pałacu.

Orłowski, malarz, przyjął z ochotą robotę, bo na to był malarzem, ale powiedział:

— Malarzem poprawdzie mogę być u każdego, kto mi płaci, ale Polakiem i katolikiem zostanę do śmierci, bo wiary św. i nazwy po dziadkach moich nie przedałbym za cały świat, a duszy katolickiéj i polskiéj nie oddam nikomu w świecie na wysługę, bo ta na ziemi należy do kościoła katolickiego i do narodu polskiego, a na tamtym świecie należy do samego tylko Boga.

I tak malował obrazy Konstantemu, césarzewiczowi moskiewskiemu, za zapłatę, ale został zawsze Polakiem i katolikiem!

Ale roku pańskiego 1830 w wiliję św. Andrzeja Apostoła, znowu Warszawianie, a piérwsi do tego byli szkolarze z szkoły wojskowéj, wygnali z pałacu owego Konstantego i z jego wojskami za miasto w nocy, zaprowadzili u siebie znowu rząd swój na miejsce moskiewskiego; a skoro Konstanty zobaczył, że go Polacy nie chcą, uciekł do Petersburga. Aleksander Orłowski miał wtedy 53. lat, robił co mógł dla Polaków, ale jak znowu Moskale Warszawę zabrali, on poszedł do Petersburga i tam za rok umarł.

Otóż macie dowód, że i wieśniak może dorobić się imienia dobrego i sławy takiéj, że go każdy Polak czy bogaty czy ubogi, będzie znał z zasług.

A wy, co to czytacie, pamiętajcie sobie, że macie służyć naprzód Bogu i Jemu oddać, co jest boskiego, a potém macie służyć swemu narodowi, który jest z woli Boga w całéj polskiéj krainie i takim pozostanie pod opieką Boga i obroną Polaków i katolików, a na końcu macie pamiętać o swéj ojcowiźnie chacie i pracy swojéj, aby wam przywłoki jakie nie zabiérali ani kościołów, ani Ojczyzny z chatami waszemi i pracą. Róbcie tak, jak robił wasz rodak Orłowski Aleksander i żyjcie z Bogiem, a w zgodzie i pracy między swojakami.

Xiądz Wojciech z Zaleszan.

Piosnka parobka.

Złożył do składu
Józef z Bochni.

Parobeczek ci ja, chwacki ze mnie chłopek,
Nie zmęczy mię kosa, nie utrudzi snopek.

Kocham stan mój, pracę, bo to przecie praca
Za trud człowiekowi dobrze się opłaca.

Wszystkich też wymijam, czy to kośba żniwa —
Bo nie ciérpię tego, w kim dusza leniwa.

Wszystko mi od ręki jakby z płatka idzie,
To też jak uważam, nie będę żył w biédzie.

Mam i grosza trochę, chowam go w kalecie,
By było na dzisiaj i na potém przecie.

Grosza nie przehulam, ni w karczmie przepiję,
Bom nie marnotrawnik, więc oszczędnie żyję.

Niszczyć zdrowie swoje, przemieniać się w zwierzę,
Do tego mię wcale ochota nie bierze.

I w kościele bywam, słucham mszy, kazania,
Potém radbym słuchał rozmowy, czytania.

Komu pusto w głowie, gardzi cudzą radą,
Ten też pewnie sobie i drugim zawadą.

A ubranie moje widzieć także proszę;
Każdy mi to przyzna, że się pięknie noszę.

Mam ja piórko pawie u czapki rogatéj,
A w białéj sukmanie jakżem zuchowaty!

Strzelają téż na mnie oczkami dziewczęta,
By mię mieć za męża bierze je ponęta.

Lecz gdy do żeniaczki nabiorę ochoty,
Poszukam dziewczyny, ale pełnéj cnoty.

Cóż mi po marności, gdy na cnocie zbywa,
Gotowy srom w chacie, dola nieszczęśliwa!

Próżniaka téż nie chcę, choćby z srébrem, złotem,
O bobym goryczy doznał w życiu potém.

Majątek przeminie, a w dalszym żywocie,
Opłakane chwile przy troskach, zgryzocie.

Lepsza pracowitość, skrzętność niż majątek;
Będzie przyszłość lepsza, choć jest zły początek.

Nad urodne lica przeniosę rozsądek,
Pojmę dziéwczę takie, co lubi porządek.

Niechaj chata nasza stanie się przykładem,
Jak się trza odznaczać czystością i ładem.

Tanecznicy nie chcę, co ją karczma bawi,
A co mąż zarobi, ona zmarnotrawi.

Nie wezmę téż pani, lecz tę, co tak czyni,
Że z niéj będzie *żona, matka, gospodyni!*

BIÉCZ
i jego okolica.

(Dokończenie.)

Pod chórem zaś tego kościoła znajduje się w ścianie nagrobek ojca tegoż biskupa: Bartłomieja Kromera. Na środku miasta stoi wieża znacznéj wysokości 6cio kątowa, z ciosów wzniesiona, silna, majestatyczna i całéj okolicy imponująca, wysoka dosyć (chociaż jedno piętro niebardzo dawnemi czasy zniesiono); obok niéj ratusz, w którego skarbcu przechowują starożytny miecz do ścinania głów złoczyńców, dawniéj używany.

Daléj idąc drogą od kościoła parafijalnego ku dzisiejszym OO. Reformatom, widzi się po prawéj ręce stary gród niedawnemi czasy o jedno piętro obniżony, w którego wnętrzu dawniéj się sądy w obszernych i sklepionych salach odbywały, a obok niego szpital Biécki dla ubogich, w roku 1395 przez królowę polską Jadwigę fundowany i hojnie uposażony.

Nadmienić tu potrzeba, że dawniejsze miasto Biécz liczyło oprócz głównego kościoła czyli kolegijaty ośm kościołów poczęści w swoich murach, resztę zaś poza murami miasta.

Kościół Ś. Piotra, nie ten, który dzisiaj stoi, bo ten liczy zaledwie lat 30, na cmentarzu po za murami miasta; kościół Ś. Ducha, z którego nie ma ani śladu przy szpitalu ubogich, kościół Ś. Stanisława, kościół S. Barbary do dzwonnicy kościelnéj przypierający, kościół Ś. Jakóba po za murami miasta za dzisiejszym kościołem OO. Reformatów położony, kościół N. P. Maryi, kościół S. Krzyża i kościół Św. Mikołaja. Nie dziw przeto, że dawne miasto Biécz tyle gmachów w sobie mieszczące, słusznie małym Krakowem nazwane zostało że dzisiaj jeszcze istniejące pomniki starożytności a mianowicie kościół parafialny i wieża ratuszna nie dla dzisiejszych nędznych lepianek i ubogich drewnianych domków, wzniesione zostały. Dzisiaj z tych wszystkich ośmiu kościołów starożytnych, pozostał tylko jeden kościół parafialny, bo dwa inne t.j. OO. Reformatów i S. Piotra są nowszéj daty. A lubo dawniéj za czasów polskich miasto Biécz przez Jérzego księcia Radziwiłła, kardynała i biskupa krakowskiego, do rzędu kolegijaty wyniesione i godnością prepozytury czyli probostwa w roku 1598 zaszczycone zostało, miało dostateczny fundusz na utrzymanie prałata czyli kanonika z sześcioma wikaryjuszami, czyli mansyjonaryjuszami, kiedy równie i inne kościoły w dawnym Biéczu się znajdujące, miały swoich własnych proboszczów lub przynajmniéj miejscowych, prebendarzy z dostatniém utrzymaniem; dzisiaj przytém samym, ale niestety już tylko jednym kościele parafijalnym, ledwie dwóch księży utrzymać się może. Co za dziwna zmiana czasu — w cóż się obróciły te dawne i tak dostatnie fundusze, i co jeszcze daléj będzie?

Sic transit gloria mundi. (Tak przemija świetność świata).

X. I. Molnar,
pleban z Binarowéj.

Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.

We wsi Pokrzywnicy stoi kościół na dość wyniosłéj górze; daléj o kilka set kroków, ale na téj saméj jeszcze wysokości roztacza się obszerny, do koła wałem z kamieni otoczony cmentarz; dołem płynie mała rzeczułka, a tuż za nią na rozległéj płaszczyźnie stoi karczma, przy niéj dwie spore chaty i młyn niewielki; zaraz potém kuźnia i dom kowala, a zaś daléj ciągnie się wieś cała.

W jednéj z tych chat, które stoją za rzeczułką obok młyna a w pobliżu od kowala, mieszkał dawniéj Wawrzyniec Niezdara, wdowiec w podeszłym już wieku. Mienie jego było dosyć znaczne, bo i ogród miał piękny i pola nie mało; w stajni dwa koniki, w oborze trzy krowy, a w kalecie podobno kilka set reńskich. Przy sobie nie miał nikogo oprócz staréj siostry, dwóch dziéwek i jednego parobka. Najczęściéj był on w złym humorze; zawsze kwaśny, mało z kim mówił. Lubił chodzić do ogródka, tam siedział na trawniku, palił fajkę i dumał.

— Mój Boże! — myślał nieraz — już dwa lata prawie, kiedy mi zabrałeś żonę i mnie powołasz wnet do siebie, a jakże by mi było przykro, gdyby mój syn nie powrócił i nie zawarł powiek staremu ojcu!... Lekkomyślność przywiodła go do tego, że przystał do wojska, dziś już wysługuje; daj mu upamiętanie, gdy wróci, aby nie był zmartwieniem biédnemu ojcu w ostatnim kresie....

Stary rozpłakał się żałośnie, zdjął czapkę i modlił się gorąco. W miesiąc może po téj chwili póżnym już wieczorem, kiedy wszyscy spali, stary Wawrzyniec siedząc w łóżku odmawiał koronkę na cześć Matki Boskiéj.

W tém zapukał ktoś do okna. Wawrzyniec przestraszył się bardzo, albowiem o téj porze nikt do niego nie przychodził.

— A kto tam? — zapytał po chwili.

— To ja! — odpowiedział nieznajomy.

— A co za ja? — zapytał Wawrzyniec.

— Ja, mój ojcze! — rzekł nieznajomy.

— Franuś, mój syn?

— Tak, Franuś, mój ojcze!

— O wielki Boże! — zawołał Wawrzyniec i czémprędzéj wzbiegł z łóżka, by otworzyć i obaczyć syna.

— O jakże się masz, kochane dziécię! — mówił ściskając syna — Ja o tobie dzień i noc marzę. Na długo tu przybywasz?

— Na zawsze! — odpowiedział Franek.

— O! teraz będę szczęśliwy, dopóki mi Bóg żyć pozwoli. Już teraz spokojne umiérać mogę — dodał w rozczuleniu.

Na rozmowie o różnych rzeczach upłynęło kilka godzin. Już świtać poczynało, kiedy spać się położyli.

Na drugi dzień Wawrzyniec w najlepszym był humorze, każdemu wesołą opowiadał nowinę, że syn jego przybył od wojska i obejmie po nim gospodarstwo. Jakoż wieczorem zaprosił wójta i kilku radnych i w obec nich mianował Franka prawym dziedzicem swojego mienia. Z tego powodu bawiono się długo, stary Wawrzyniec i jego siostra napili się więcéj niżeli trzeba było, to też na drugi dzień oboje zachorowali. Po kilku dniach stan ich tak się pogorszył, że przywołano kapłana, przy którym oboje prawie w jednym kwadransie zakończyli życie. Niebawem odprawiono pogrzeb. Franek niby był smutny, ale w duchu się cieszył, że naraz został samowładnym panem. Codzień chodził do karczmy i tam niepospolitego udawał zucha. Wkrótce też mówili ludzie, że Franek przehula ojcowiznę, bo zamiast jąć się pracy, po największéj części siedział w karczmie, pił gorzałkę i opowiadał ludziom niestworzone rzeczy, czego ani nie widział ani o tém nigdy nie słyszał. Niejedni śmiali się z niego, inni mu znów wierzyli, to téż zdawało się Frankowi, że wszystkie pojadł rozumy. Ale byli i tacy, co Franka żałowali i myśleli nad tém, jakby go sprowadzić ze złéj drogi.

Przychodzi tedy raz wójt do niego i mówi:

— Byliście téż, mój Franciszku, daleko już we świecie, widzieliście to i owo, owoż spodziewaćby się po was należało, że będziecie uczciwym i przykładnym człowiekiem.... Tymczasem dochodzą mię wieści, że się źle sprawujecie.... Przez pamięć na dobrego ojca odmieńcie się, miły Franciszku, a zjednacie sobie szacunek i poważanie. Pijaństwo i hulatyka nie daleko was zaprowadzą. Pomyślcie lepiéj o żonie, a stokroć przyjemniéj wam będzie!..

— O co do ożenienia — powiedział Franek — to zawsze mam ochotę, bo widzę, że przy gospodarstwie bez żony nie dam sobie rady. Będzie żona, będzie i odmiana, boć to mówią: kto się ożeni, ten się odmieni. Że się teraz czasem zapominam, nie dziwota, bo jestem kawalerem, a wiem jak to w świecie idzie....

— A więc dobrze, mój Franciszku! — powie wójt, trzymam was za słowo. Wkrótce zrobimy wesele, bo mam dla was dziéwkę urodną, choć nie bogatą, cnotliwą i pracowitą, bo lepsza taka niż leniwa, choćby z worem złota.... Franek przystał na to. Niebawem w Pokrzywnicy odbyło się wesele Franka z ubogą Celiną, która na łasce mieszkała u wójta.

Zdawało się, że Franek pokochał pracowitą żonę, bo mało gdzie wychodził, prawie zawsze siedział w domu, co niewymownie cieszyło ludzi, którzy mówili, że się Franek na prawdę upamiętał i może na dobrego wyjść człowieka.

Po niejakim atoli czasie zły duch wstąpił do jego chaty. Były krzyki i swary, Celinę widziano często jak płakała, bo jéj Franek robił wyrzuty, że golec, że nic w dom nie przyniosła, że on przy niéj skapać musi. Odezwały się w nim dawne grzéchy, bo przysłowie mówi, że natura ciągnie wilka do lasu. A więc niby ze zmartwienia chodził do karczmy, bratał się z pijakami, między którymi chciał koniecznie rej wodzić.

— O kiedy taki zuch z ciebie — rzeknie raz pewien pijak do niego — to musisz umieć grać w karty?

— A jakżeby to było — odpowie Franek — żeby wojak nie umiał grać w karty?... Dajcie tylko, a ja wam pokażę, jak się to gra z wojakami!...

Kilku szczwanych lisów zasiadło z nim do stolika i nuż grać w karty. Co Franek ruszy kartą, zawsze wygrywa, bo gracze umyślnie na to zezwalają, żeby zagustował w kartach. I rzeczywiście dopięli swojego. Odtąd trudno było Franka utrzymać w domu, chodził ustawicznie do karczmy i namawiał każdego do gry w karty. Żądza opanowała go na wielki rozmiar. Nie zważał na biédną żonę, która od świtu do nocy ciągle pracą zajęta — na próżno go odwodziła od pokusy, na próżno wylewała łzy rzęsiste.

— Poczekaj — mawiała nieraz — pożałujesz kiedy, ale będzie po niewczasie!

— Co ty mi masz zakazywać — wrzasnął Franek, alboż mi dajesz na to pieniądze? Co mam, to swoje, a tobie do tego wara!

— Za pracę — odrzekła Celina — i mnie się coś należy. A że mię trzymasz jak wyrobnicę, niech i tak będzie....

Pomimo przedstawień wójta i innych ludzi Franek robił po swojemu.

Aż przecie jednego razu, gdy Franek został w domu a w dobrym był humorze, przystępuje ku niemu z przymileniem Celina i tak się odzywa:

— Nie wierzę ja wcale, żebyś ty był tak złym człowiekiem i nie kochał swojéj żony. Wiem, że to dla niéj uczynisz, iż nie będziesz grywał w karty. Utracisz dobytek, a cóż potém robić będziesz, gdyby nas Bóg obdarzył dziećmi?...

— Dobrze mówisz, kochana Celino — odrzekł Franek — ja muszę przestać grać w karty, bo mię to do niczego dobrego nie przywiedzie. Już nie będę chodził do karczmy.

I był znowu spokój w chacie, Franek wziął się do pracy i ani wiedział jak mu upływał tydzień po tygodniu. Niebawem nadszedł jarmark. Franciszkowie pognali bydło i wzięli kilka korcy zboża na sprzedaż. Franek zeszedł się ze znajomymi i zaglądnął do karczmy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TADEUSZ KOŚCIUSZKO.

Nasz Kościuszko w sukmanie,
Trzepał wrogów mospanie;
Serce Polsce darował,
Więc go naród miłował.
A na dowód miłości,
Przy Krakowie w bliskości,
Cały naród mu za to
Usuł kopiec bogato.
A na zamku w Krakowie,
Gdzie są polscy królowie,
Tam pochowan mospanie
W prostéj, chłopskiéj sukmanie.
Przy nim czapka czerwona,
Karabela złocona,
Bo za życia tak chodził,
Gdy chłopami dowodził.

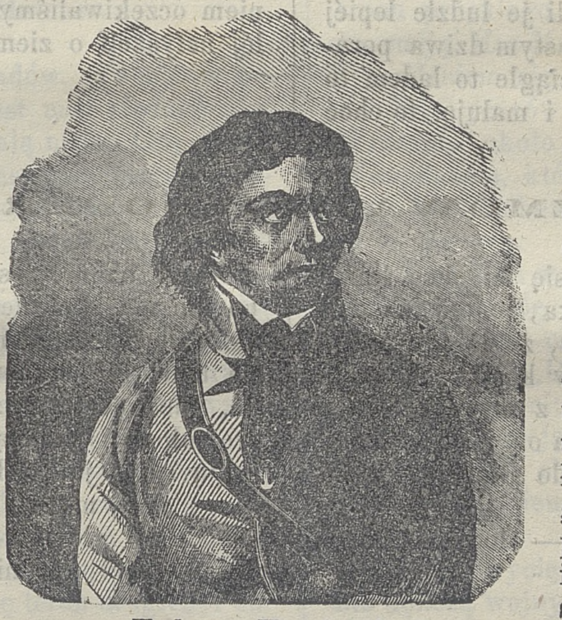
Choć tysiąc lat upłynie,
Nasz Kościuszko nie zginie,
Bo go w sercu nosimy,
Boga za nim prosimy.

Ks. O. z Gręboszowa.

Pogadanki o świecie.

I.

Mój Boże! śmiało powiedzieć mogę, że mało kto może się poszczycić takim dziaduniem, jakiego ja miałem, a którego oby Bóg przypuścił do chwały swojéj! Ale bo też to starowina był słodziutki, łagodny i uprzejmy; lubił żartować z dziećmi, płatał im figielki, a bywało, że co święta i niedziela gromadził nas pod lipą, która stała przed chatą, i opowiadał przedziwne rzeczy ze swojego życia, a najczęściéj to już czytał nam powiastki z historyi biblijnéj, żywoty świętych, a nieraz opowiadał o dawnych królach, i rozpłakał się dziadowina i ocirał łzy rękawem, i my płakaliśmy z nim razem, a potém klękali i modlili się do Boga. To téż przy tym starowinie tak nam miło płynęło życie, żeśmy myśleli, iż nigdzie milszego nie ma kącika na ziemi. Przychodziła téż nieraz do nas służba i przysłuchiwała się ciekawie, gdy dziadek czytał lub opowiadał.



Tadeusz Kościuszko.

Pamiętam dobrze, bo byłem już wtenczas sporym chłopakiem, gdy do dziadunia mojego raz wieczorem w niedzielę odezwał się mój przyjaciel Ignacy w te słowa:

— Ej jak też to dziaduniowi musi być przyjemnie, że tak dokładnie zna ten świat piękny, że widział tyle ziem różnych...

A dziadunio na to:

— Ale bo ja też nie siedziałem za piecem i poróżnych stronach nosiły mię nogi moje. Jeździłem co prawda także nie mało, bo miałem już taką nawyczkę, aby jak najwięcéj poznać różnych rzeczy. A czegom sam nie mógł obaczyć, brałem zaraz książkę i czytałem o tém i owém. Ale najbardziéj lubiłem czytać o ziemi, aby się dowiedzieć jak ona wygląda i co się na niéj znajduje?...

— A jak się taka książka nazywa — zapytałem, z któréj można się dowiedzieć jak wygląda ziemia nasza?

— Moje dziecko! — odrzekł dziadek — taka książka nazywa się *jeografija.*

— Ale kiedy ja nie rozumiem tego słowa — odpowiedziałem dziadkowi głaszcząc go po kolanach.

A dziadunio powie na to:

— Juźciż nie rozumiész, moję dziécię, bo słowo to nie polskie. Po naszemu znaczy ono *opisanie ziemi.*

A ja poderwę spiesznie i rzeknę:

— Aha! teraz już wiem, co to znaczy *jeografija!*

— Jednakże pamiętajcie, moi mili! — ciągnął dziadek daléj — że jeografija dzieli się na trzy części. Z jednéj dowiadujemy się jakiego ziemia jest kształtu, jaką ma wielkość, jak się obraca i jak się ma do słońca i księżyca. Z drugiéj części poznajemy, jakie gdzie są państwa i kraje, jak są urządzone i jakiéj wielkości; jakie są religije, języki, obyczaje, oświécenie i jak żyją różne narody na całéj ziemi.*)

A trzecia część nas uczy o tém, jak ziemia wygląda na swojéj powierzchni, jakie są jéj odmiany, jakie wody, jakie rośliny i żyjące istoty.

— A to dziadunio — przemówiłem — czytał najwięcéj z téj części trzeciéj?

— A tak, moje dzieci! — odparł dziadek — chociaż i o innych nie przepomniałem. O moje dzieci! bo jeografija jest bardzo piękną nauką i bardze wiele z niéj człowiek nauczyć się może. Dawniéj mało wiedziano o ziemi, bo naukę tę uważano za niezmiernie trudnę; tymczasem dzisiaj sprawia ona każdemu wielką przyjemność. Ludzie są teraz coraz ciekawsi, to też lepiéj poznają ziemię i wyszukają na niéj różne ciekawości. Jeżeli zechcecie, to wam będę opowiadał o różnych górach; jak to jedne są wiecznie pokryte lodem a inne wyrzucają z siebie ogień; opowiem wam o trzęsieniach ziemi, o rzékach, jeziorach i morzach, abyście nie myśleli, że wszędzie na ziemi tak jest jak w naszéj okolicy.

— O, mój dziaduniu złoty! — zawołaliśmy wszyscy — a opowiadajcie nam też o tych cudach bożych, aż dopóki sami nie będziemy mieli sposobności, by choć co nieco własnemi widzieć oczyma.

A dziadek jął nam tak opowiadać:

— Cieszę się, że jesteście ciekawi, to też uczynię zadosyć woli waszéj. Będę wam opowiadał o ziemi jak ona teraz wygląda i co się na niéj znajduje. Trzeba wam atoli wiedzieć, że nim ludzie tak poznali ziemię, jak ją znają dzisiaj, na to potrzeba było bardzo długiego czasu. Nie szły na to lata, ale całe długie wieki. Szło to wszystko nadzwyczajnie pomału, bo ludzie tylko po trosze mogli poznawać ziemię. A chcieli ją przecie poznać, bo na niéj żyją i umierają. Jeszcze przed czterystu laty nie znano dokładnie ziemi, a przecie wydawało się niejednemu, że już wiele umie. Tymczasem niejaki Krzysztof Kolumb jadąc morzem w nieznane strony odkrył część świata zwącą się *Ameryka*, która leży na drugiéj stronie kuli ziemskiéj. Zaraz też nastąpiła zmiana w nauce o ziemi. Tak to widzicie rozmaite *odkrycia* i *wynalazki* zmieniają wiedzę ludzką i na nowe ją sprowadzają tory.

— A jaka też to różnica — wtrącił Wawrzek parobek — między odkryciem a wynalazkiem?

Na to powie zaraz dziadek:

— Odkrycie jest wtenczas, gdy człowiek coś takiego wyszuka, co było na świecie, a ludzie o tém nie wiedzieli. N. p. Ameryka była od dawna, ale ludzie o niéj nie wiedzieli; dopiéro ją odkrył Krzysztof Kolumb. Wynalazek zaś jest wtenczas, gdy ludzie wynajdą coś takiego, czego jeszcze nie znali. N.p. dawniéj ludzie nie znali prochu, telegrafów, kolei żelaznéj, balonów i t. p., a że tego nie było na świe-

*) Właśnie w przyszłym numerze poczniemy umieszczać rozgadki: *O różnych krajach i ludach*, bo czytając gazety, bez tych wiadomości obejść się nie można. A będą one ile możności w każdym numerze.

cie, więc mówimy, że tego ludzie nie odkryli, ale wynaleźli.

Wróćmy teraz znowu do ziemi. W bardzo dawnych czasach ludzi było mało a znali tylko tę okolicę, w któréj żyli i pasali swoję trzodę. Znali pastwisko, przyległe lasy i góry; aż gdy się ludność powiększać zaczynała, poznawano téż coraz większy obszar ziemi, za którym myślano, iż już jest koniec ziemi, bo się nie puszczali w dalekie strony. I dzisiaj jeszcze Chińczycy, mieszkający w drugiéj części świata Azyi, nie znają tylko swoje państwo, a ktoby się odważył powiedzieć publicznie, iż są jeszcze inne kraje oprócz ich niebieskiego państwa, jak je nazywają, pewnieby przypłacił życiem.

Długi upłynął kęs czasu, zanim ludzie poznali kawał *Azyi*, owéj kolebki rodzaju ludzkiego, i część *Europy*, w któréj my mieszkamy. Późniéj poznano *Afrykę*, któréj i dzisiaj nie znamy dokładnie; poznano lepiéj Europę, teraz najludniejszą, i Azyję jéj sąsiadkę. Europa, Azyja, Afryka nazywają się dla tego starym światem. Przed czterystu dopiéro laty odkryto *Amerykę*, późniéj *Australiję*, które to obie części ziemi nazwano nowym światem.

Wtém poderwie Kuba pastérz i powie:

— To mamy pięć części ziemi?

— A tak — rzeknie dziadek — mamy pięć części. Od przeszłego wieku poznali je ludzie lepiéj a w teraźniejszym wieku dziewiętnastym dziwa porobiono. Ale bo też ludzie jeżdżą ciągle to lądem to morzem; oglądają i opisują, rysują i malują, to choć kto nie był w niejedném miejscu, może mieć dobre o niém wyobrażenie.

Tu odchrząknął sobie dziadek a Ignacy tak się zapytał:

— A co to dziaduniu nazywacie lądem?

A dziadek tak mówił na to:

— Mówiłem wam już, moi mili, że na początku świata woda zaléwała całą ziemię. Kazał tedy pan Bóg jednéj połowie unieść się w górę, a druga została na ziemi. Z pozostałéj wody potworzyły się rzéki, jeziora i morza, a niezalaną ziemię przeznaczył Bóg na siedzibę ludzi i zwiérząt.

Owoż ziemię niezalaną wodą nazywamy lądem stałym albo z cudzoziemska kontynentem. Cały ląd jak słyszeliście podzielono na pięć części: Europę, Azyję, Afrykę, Australiję i Amerykę, a zajmuje tylko trzecią część całéj ziemi, bo dwa razy tyle jest wody. Woda ta tworzy właściwie jedno morze, bo jest razem połączona, ale ludzie dla lepszego poznania i dogodności, podzielili ją na różne morza, o których późniéj słyszeć będziecie.

W tém zadzwoniono na Anioł Pański. Powiedział więc dziadek:

— Dosyć będzie tego na dzisiaj. Teraz wszyscy na kolana!

Po modlitwie poszliśmy do domu i z upragnieniem oczekiwaliśmy przyszłéj niedzieli, żebyśmy daléj usłyszeli o ziemi.

Józef z Bochni.

ROZMOWA O NIEDOPÉRZU.

— Ha, ha, ha! Do prawdy, że się mi chce śmiać do rozpuku z tego mądrego Antka, co to chodził do szkoły, jak on mi śmiał mówić, że to nie prawda, iżby gacek czyli jak go tam w książkach nazywają, niedopérz, miał powstawać z myszy? Toć u nas każdy mały bęben wié o tém, a on mi nie chciał wierzyć! — Tak mówił Mateusz do Błażeja, który stał przy wrotach.

— I to może ze staréj myszy? — dodał śmiejąco Błażéj.

— A jużci ze staréj! — odfuknął Mateusz.

— A kiedy i ja nie wierzę temu — odpowiedział Błażéj.



— Alboż to nie wiécie — gadał Mateusz — że gdy mysz zjé w kościele świécę, to się zaraz przemieni w niedopérza?....

— A to dopiéro smalone duby! — zawołał Błażéj — A czyście wy kiedy słyszeli, żeby jedno stworzenie zamieniało się na drugie? Alboż to kot zamieni się w kurę, a sroka w słowika? To coś na to wychodzi, jak to sobie bają ludzie, że człowiek powstał z małpy. A czemuż ludzie nie zamieniają się w małpy ani inne zwiérzęta? Tfu! to wstyd, żebyście wy przy zdrowym rozumie wierzyli takim głupstwom. Pan Bóg stworzył niedopérza niedopérzem, a że trochę jest podobny do myszy, ztąd powstało mniemanie, jakoby z niéj powstawał. Przecież kruk podobny do wrony, wróbel do skowronka, a przecież jedno z drugiego nie powstaje.

— No, to niech tam! — odrzekł Mateusz — ale Antek mówił daléj, że niedopérz nie jest ptakiem, a ja mówiłem, że to nie prawda.

— A bo nie jest ptakiem — powiedział Błażéj — bo nie ma skrzydeł, jeno błony do latania. Nie może wzlecieć ze ziemi, bo piérwéj musi się wydrapać na mur lub drzewo i dopiéro w lot puścić się może. Niedopérze są zwiérzętami ssącemi, bo rodzą żywe młode i karmią je mlékiem swojém a nie wykluwają się z jajek, bo ich nie niosą.

— A to może i to nie prawda, że niedopérz wkręca się do głowy? — zapytał Mateusz.

— Jużci, że nie prawda — odparł Błażéj — bo jeszcze nikomu to się nie stało. W innych krajach, to są takie niedopérze, co wysysają krew ludziom i zwiérzętom podczas spania, ale u nas takich nie ma ani na lékarstwo.

— A czemuż tak ludzie gadają? — mówił Mateusz.

— A bo o niejedném tak gadają, chociaż jest nie prawda. Jest to tylko takie głupie gadanie, zamiast powiedzieć, iż jest nieprzyzwoicie chodzić z odkrytą głową.

— Potém sprzéczał się Antek — tłomaczył Mateusz — iż także jest nie prawdą, jakoby niedopérze jadły słoninę?

— Ależ, mój kumotrze! — wtrącił Błażéj — to wierutna bajka. Przypatrzcie się zębom niedopérza, a sami powiécie, jakby to być mogło? Nie żywi się on mięsem ani roślinami; jé same tylko owady.

— A czemuż nieraz niedopérze wysiadują w kominach?

— Bo lubią ciepło; zimna nie znoszą. Zresztą w dymnym kominie jak każde zwiérzę, i oneby nie wytrzymały.

— Ej, mój kumie! — zagadał Mateusz — to coś

zakrawa na żarty. Wszakże w zimie nie ma owadów, to cóżby jadły niedopérze jak nie mięso?

— A toście się teraz złapali! — przemówił Błażéj — Widać że o niedopérzu same bajki wiécie. Niedopérze w zimie nic nie jedzą, bo zapadają w sen zimowy. Latają tylko wtedy, gdy są owady.

Na to powie Mateusz:

— A to może i to nie prawda, że niedopérz jest ślepy?

— A pewnie że nie — odpowie Błażéj — bo ma oczy, ale malutkie. Ma zaś długie uszy, to mu oczy zasłaniają. Zresztą niedopérz nie potrzebuje widzieć, a i tak złapie nawet w największéj spokojności, to muchę lub innego owada, bo słuch i węch ma bardzo dobry, a i czułość wielką w błonie, to też i w największéj ciemności o nic się nie nderzy. W dzień śpi a w nocy lata, dla tego niesie ludziom wielki pożytek. Pan Bóg tak mądrze urządził ten świat wielki, że ptakom i innym zwiérzętom kazał w dzień wytępiać i żywić się owadami dziennymi, a w nocy kazał niedopérzom łowić owady nocne, boby im inne zwiérzęta z powodu ciemności nie dały rady. W tém jest właśnie mądrość Boska a wielki pożytek dla ludzi. Źle tedy robi ten człowiek, który tępi niedopérze, których i tak jest nie wiele. Więcéj jest ich w gorących krajach.

— A dla czego? — zapytał Mateusz.

Na to rzekł Błażéj:

— Bo tam daleko więcéj owadów. To też w południowych krajach tak wielka jest moc niedopérzów, że wieczorem rzeczywiście zasłaniają niebo. Gdy przyjdziesz o zmroku do którego z miast tamtejszych, obaczysz nad sobą roje niedopérzów, które z różnych kryjówek wybiegają bez końca. Jedne latają z wieczora, inne w nocy, inne nad ranem, bo są różne gatunki, jak i owadów są różne gatunki. I u nas też dzieje się tak samo. Jedne latają w tém, drugie w inném miejscu, a wszędzie oczyszczają powietrze i siedziby nasze od robactwa i owadów szkodliwych, dla tego są dla nas bardzo pożyteczne.

Nie trzeba ich też tępić żadną miarą. Na północy, gdzie zimno, nie ma owadów w powietrzu, nie ma też i zwiérząt tych pożytecznych. I na tém koniec.

— Dziękuję wam, miły kumie! — przemówił Mateusz — za to oświécenie. Nauczę teraz drugich i odwiodę od przesądów. A przytém polecę gorąco, by ochraniać niedopérze i skarcę każdego swawolnika, który z głupoty dokucza tym zwiérzętom.

— Proszę was, zróbcie tak! — powiedział Błażéj i pożegnał się z Mateuszem.

Józef Chmielewski.

Przegląd polityczny.

Sądzą ogólnie, iż najzaciętsze zadanie wojny już rozwiązane. Straty obustronre mają przenosić 200.000 ludzi. Takiego krwi rozlewu nie było nigdy na świecie. Francuzi dokazywali cudów waleczności. Prusaków armija była dwa razy silniejsza, dobrze prowadzona. a nie mogła przemódz nieprzyjaciela. Straty pruskie mają wynosić z d. 18 sierpnia 50.000 ludzi. Według pruskich źródeł walczyło w téj bitwie 320.000 Prusaków, przeciw 130.000 Francuzów, wypada zatém 3 Prusaków na 1go Francuza, a mimo tego korzyści nie mieli Prusacy.

Lékarze stwierdzają, że po bitwie pod Wörth z d. 6go ranni przez 4 dni leżeli na pobojowisku bez pomocy. — Jeden lékarz opowiada, iż wioząc transport ranionych do Ingolstadu, z 600 umarło 500 w drodze. Na pewnéj drodze pruscy artylerzyści zapalili dom, w którym się znajdowało około 250 ranionych Francuzów i wszyscy zgorzeli Pruskie dzienniki nie karcą tego postępku. Po wielu miejscach widać powieszonych chłopów. Burmistrzom, którzy nie mogą lub nie chcieli zadosyć uczynić Prusakom, wyliczają po 60 kijów. — Wioski wszędzie wyludnione; konie i bydło przez Prusaków zabrane, albo w lesie ukryte. Zaledwie zobaczysz gdzie nie gdzie kilka biédnych kobiét, oglądających się, czy im Prusak nie stoi na karku.

Z Wiédnia donoszą, iż żałobne ubiory zamawiają tu ze wszystkich stron Niemiec w takiéj ilości, iż tym zamówieniom podołać nie można. Jest to dowód wielkich strat najdzielniejszych synów. Tysiące rodzin pogrążone w żałobie i rozpaczy.

Przy oblężeniu Strasburga spaliło się kilka ulic, kościół protestancki i kościół św. Wilhelma, miejska biblijoteka, galeryje obrazów itd. Biskup strasburski sam udał się do obozu pruskiego, aby kobiéty i dzieci mogły opuścić twierdze, lecz pruski jenerał nie zezwolił.

W nocy z d. 28 na 29 Sierpnia wyruszył z Paryża znaczny korpus przeciw armii księcia następcy tronu pruskiego, gdzie się odgrywał krwawy dramat z armiją Mac-Mahona, zakończony stanowczą klęską i poddaniem się Francuzów. 20 dział, 4 kartaczownice, 7000 jeńców dostało się w ręce Prusaków. 2go Września około Sedan zawarto przymierze z jen. Wimpffenem, który objął dowództwo w miejsce rannego Mac-Mahona, w skutek czego cała armija wzięta w niewolę.

Napoleon w 80000 Francuzów rzucony do twierdzy, poddał się na łaskę i niełaskę królowi pruskiemu. Adjutant césarza podał królowi list Napoleona téj treści. — „Ponieważ kula mnie oszczędziła, nie pozostaje mi nic więcéj, jak złożyć u stóp Waszéj król. Mości moją szpadę! — Przeszło 100 armat, 20 bateryj, wiele chorągiew, wszystkie bagaże znajdują się w ręku Niemców. Jenerał Wimpffen podpisał kapitulacyję.

Ani zwycięztwa pruskie ani niewola Napoleona nie kończą wojny. Patryjotyzm i energija uratują Francyję. Francuz nie okazuje ani przestrachu ani zwątpienia, dla tego po Paryżu słychać śpiéwy, jakby za najlepszych czasów. Francuzi słuchają rządu, pieniędzy nie żałują i mówią, że to nie koniec, albowiem fortuna toczy się kołem. Po obu stronach są nadzieje; czas atoli okaże, kto dobrze rachował, kto się łudził. Prusacy mają już kawał ziemi francuzkiéj w swojém ręku; obsadzili go już swoimi ludźmi i zarządzili swoję pocztę.

W Prusiech tworzą trzy nowe armije; jednę nad Renem, drugą nad Berlinem, trzecią pod Głogowem. Ma to być na wypadek, gdyby kto trzeci chciał się wmięszać do téj sprawy.

We Francyi ogłoszono rzecz-pospolitą czyli rząd obrany przez naród. Jest już nowe ministerstwo. Prezydentem Trochu, dzielny człowiek, który Paryż zaopatrzył na wypadek oblężenia. Fabrykacyja i handel bronią całkowicie wolne. Dano amnestyję wszystkim politycznym przestępcom. Porządku nigdzie nie zakłócono.

Napoleon mieszka w wspaniałym zamku Wilhelmową zwanym. Césarzewicz jest w Angli. Za nim udała się césarzowa Eugenija.

KALENDARZ.

Wrzesień ma dni 30.		
Dnie.		Święta Rzymskie.
Ewangelija u Łuk. św. w rozdziale 7. O wskrzeszeniu syna w Naim.		
18	Niedziela	15 po Świąt. Józefa z Kop.
19	Poniedziałek	Januaryjusza, męczennika.
20	Wtorek	Eustachijusza, bisk. wyzn.
21	Sroda	*Suched.* Mateusza, apostoła.
22	Czwartek	Maurycego, bisk. wyzn.
23	Piątek	*Suched.* Tekli, panny wyz.
24	Sobota	*Suched.* Gerarda, biskupa.
Ewangelija u Łuk. św. w rozdziale 14. O uzdrowieniu spuchłego.		
25	Niedziela	16 po Świąt. Władysława.
26	Poniedziałek	Józefata, biskupa.
27	Wtorek	Przenieś. św. Stanisława i E.
28	Sroda.	Wacława, męczennika.
29	Czwartek	Michała, arch. *(W Galicyi św.)*
30	Piątek	Hijeronima, doktora, wyzn.

WSCHÓD I ZACHÓD SŁONCA.

Wsch. sł. d. 17 g.	5 m.	41	Zach. g. 6 m. 6	Dł. d. g. 12 m.	25
22	5	49	5 55	12	6
27	5	56	5 44	11	48

Ostatnia kwadra d. 18 g. 2. m. 18 rano.
Nów . . . . d. 25 g. 7. m. 22 rano.

ROZMAITOŚCI.

Dnia 12 maja r. b. nawidziło różne okolice meksykańskiego państwa trzęsienie ziemi, o którém dopiéro teraz doszły do Europy bliższe wiadomości. W Oajaca przez dwie minuty trzęsła się ziemia bardzo silnie, domy i kościoły waliły się, ludzie znajdowali śmierć pod gruzami, albo otrzymywali rany; cała ludność wyległa na ulice i place i uciekała z miasta, krzycząc z bojaźni i trwogi. Nikt się nie odważył powracać do mieszkań, zwłaszcza że we dwie godziny późniéj zaczęły się nowe oscylacyje. Na drugi dzień powtórzyły się znów silne wstrząśnienia a nawet jeszcze 13 bm. z lekka się czuć dawały.

Pewien mieszkaniec miasta Meksyku tak opisuje w liście tę katastrofę: W nocy 11 maja silne trzęsienie w połączeniu z głośnym podziemnym szumem zbudziło pół godziny przed północą całą ludność ze snu spokojnego.

Wstrząśnienie było naprzód podobne do uderzenia, przeszło potém w drżenie i skończyło się podobnie jak się zaczęło. — Silne trzęsienie bez przerwy trwało 30 sekund i wyrządziło ogromne szkody.

Miasto przedstawiało bolesny widok przy słabém świetle księżyca, który osłaniała na wpół mglista atmosfera; widać było cienie gruzów, powstrzymujących kroki strwożonych tłumów, które cisnęły się z pośpiechem, aby dowiedzieć się o losie krewnych i znajomych. Przed domami stały gromady ludzi rozmaitego wieku i płci, rozmawiających głośno o wydarzeniach nocy, o stratach i nadziejach; w głosie można było poznać przestrach i wzruszenie. Tak przeszła cała noc w strasznéj obawie, nikt nie myślał spać i z niecierpliwością oczekiwano świtu, aby widzieć wszystkie skutki zniszczenia.

Cała niższa część miasta od strony południowéj ucierpiała okropnie; nie było ani jednego domu, któryby nie doznał uszkodzenia, a wiele z nich stało się zupełnie niezdatnemi do mieszkania. Zégar miejski na domu rządowym zawalił się na wielką salę posiedzeń i przebiwszy dwa piętra, upadł przy portalu przed gmachem. Dom trybunalski także został zburzony; gmach pojezuicki tak mocno uszkodzony, że rząd nakazał zburzyć wieże przy nim będące. Kościół katedralny ucierpiał wiele i potrzebuje znacznéj naprawy. Wstrząśnienie było tak silne, że marmurowa statua Wiary, chociaż cała na wzdłuż żelazną sztabą wzmocniona, do szczętu została zgruchotaną. Wyrządzonéj szkody nie można jeszcze obliczyć; o ile dotychczas wiadomo, cztéry osoby zostały zabite, sześć jest rannych. Pomiędzy zabitymi znajduje się także młoda dziewczyna, Carmen Parra, która, uciekając z pokoju, przygnieciona została walącą się ścianą.

* Rząd węgierski przyzwolił na przedłużenie sądu doraźnego na podpalaczy w okolicy miasta Kézdy-Vasarhely. —

Odpowiedzi na listy.

P. A. Zgudowi w Wieliczce. Nie bądźcie nam téż krzywi, że dotąd nie posyłamy książek. Pisaliśmy już kilka razy do p. Chociszewskiego i ani książek nie przysyła ani odpowiedzi nie daje. Może wojna jest temu winna. Skoro dostaniemy, zaraz odeszlemy. W przeciwnym razie zwrócimy pieniądze.

I inne zamówienia przesłaliśmy p. Chociszewskiemu, dla tego prosimy o ciérpliwość a wina nie z naszéj strony.

P. S. w Moczerodach. Chcemy każdemu dogodzić i pisaliśmy dlatego w 14 numerze, że o różnych rzeczach pisać będziemy. Jednemu to, drugiemu co innego się spodoba. Wszystko każdemu spodobać się nie może, a my chcemy pisać dla każdego, więc ze wszystkiego po trosze.

P. T. Sz. w Grodzisku. Najmocniéj przepraszamy, że numera nie dochodziły. Winna temu dawniejsza administracyja, która nam oddała niedokładne rachunki i adresy. Numera wysłaliśmy zaraz.

P. Franciszkowi Dębowskiemu w Bogucicach. List Wasz ucieszył nas bardzo. Posyłamy Wam własną książkę, bo p. Chociszewski nie nadesłał. Uczcie towarzyszów, napiszcie co więcéj do nas jak Wam się wiedzie, a jeżeli będziecie w Krakowie, prosimy o odwidziny. Pozdrówcie od nas pięknie Waszych znajomych.

Wszystkich zaś Szanownych prenumeratorów, którzy się zgłosili o książki p. Chociszewskiego, bardzo przepraszamy i donosimy, że ich jeszcze nie mamy u siebie. Jeżelibyśmy ich dostać nie mogli, zaraz oznajmimy. Nie przewidywaliśmy takiego zawodu. Listy z pieniądzmi najlepiéj przesyłać za *przekazem pocztowym,* bo nie trzeba pisać osobnego listu i kosztuje tylko 5 centów.

PP. Prenumeratorów, którzy od kwietnia nie ponadsyłali prenumeraty, a którym ciągle przesyłamy wychodzące numera, prosimy bardzo o przysłanie pożądanéj kwoty. Przesyłkę przyobiecujemy bardzo regularną.

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Wydawca S. Jordan.

W Drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.